

13582
B.P im. Ł.



#13582
0026-37360

55+58/53=615.3

NADBITKA Z XIV TOMU „WISŁY” 1900 R.

Józef Rostafiński: Średniowieczna Historia Naturalna. Systematyczne zestawienie roślin, zwierząt, mineralów, oraz wszystkich innego rodzaju leków prostych, używanych w Polsce od XII do XVI w. (Symbola ad Historiam Naturalem medii aevi). Nakładem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków, 1900.

(Część I. Str. XXI+605+4 tablice fac-simile.— Część II. Materiały źródłowe do słownictwa przyrodniczego. Str. 352).

(Sprawozdanie odczytane na posiedz. sekcji przyrodn. T. O. W., z 20-gowrześnia r. b.).

Czym jest właściwie praca pana R. tego tytuł dokładnie nie oddaje, pomimo, że autor zapewnia w przedmowie iż „sam tytuł jasno mówi o jego treści.” Polski brzmi: „Historja naturalna,” łaciński: „Symbola ad Historiam,” treść zaś i cały charakter pracy nastrocza inne określenie. Ma to być „flora, fauna i mineralogja wieków średnich,” — tymczasem z innych, a własnych słów autora dowiadujemy się, że jest to przedewszystkiem owoc długoletniej pracy nad *wytłumaczeniem nazwisk* polskich i łacińskich, zawartych w średniowiecznych pomnikach naszej literatury; że jest to „zestawienie”—ale nie „roślin, zwierząt i mineralów” (jak się wyraził autor) — lecz przedewszystkiem *ich nazwisk*. Różnica to zasadnicza. Tę niezgodność tytułu z treścią zaznaczam zaraz na wstępie—dlatego, aby ustalić definicję dzieła; każde bowiem określenie nastrocza inne wymagania z innego punktu wyjścia nakazywałoby pracę pana Rostafińskiego rozpatrywać.

Otóż Historję naturalną praca pana Rostaf., zdaje mi się, nie jest, pomimo czysto przyrodniczego usystematyzowania materiału, bo głównym przedmiotem badania nie są w niej *pojęcia* lub dokumenty przyrodnicze, lecz tylko ich *symbole* czyli *wyrazy*. Że nie narzucam tu definicji, o tym świadczy własne jego określenie zadania. Określenie to jest proste: chodziło o wytłumaczenie nazwisk polskich i łacińskich, zawartych we wszystkich znanych pomnikach naszego średniowiecza. Sam autor tak o nim mówi: „Całe zadanie niniejszej pracy da się ostatecznie zredukować do dwu czynności: jednej naukowej, drugiej mechanicznej. Naukowa polegała na tem, aby dojść z całą ścisłością... *co pewna polska nazwa oznacza*. Skoro zaś wszystkie nazwy z stały oznaczone, trzeba było... odnoszące się do tego samego przedmiotu zestawiać razem, a potem ugrupować przedmioty systematycznie.” „O tych mechanicznych czynnościach niema co i mówić. Ale o samem naukowem oznaczaniu muszę coś powiedzieć.” „Kto bowiem, nie mający o przedmiocie wyobrażenia, weźmie tę książkę do ręki, może się zapytać: jakim sposobem tak różnorodne nazwy... sprowadzano do wspólnego mianownika, *skoro w źródłach popolicie niema nic, tylko same nazwy*” (str. 77). Z tego widzimy, że nazwy są przedmiotem dzieła, a materiałem podstawowym około czterech dziesiątków rękopisów średniowiecznych, przeważnie bardzo ubogich nawet

1000811127



172100/21

w nazwy, o które chodzi. Przeszło połowa tych rękopisów to krótkie rejestrzyki, nie zawierające nic prócz samych nazwisk polskich z towarzyszącymi im synonimami łacińskimi, przeważnie mało zrozumiałymi, bałamutnymi lub źle użytymi.

W takich warunkach łatwo zrozumieć, że już same nazwiska owe stanowią tak bogaty w punkty wątpliwe i sporne przedmiot badania, że odsuwają na razie na plan dalszy to wszystko, co może stanowić, jako rezultat tego badania, istotę dzieła przyrodniczego. Choć jednak Historją Naturalną średniowieczną we właściwym jej znaczeniu dzieło pana R. jeszcze nie jest, chętnie przyznaję, że jest do niej pierwszorzędną pracą przygotowawczą i bogatym oraz gruntownie opracowanym materiałem. Ale mniejsza o tytuł dzieła, skoro co do charakteru jego nie może być pomyłki: Tak lub inaczej nazwane oznaczenie krytyczne materiału językowego wieków dawnych, opracowane przez wytrawnego znawcę flory, od lat wielu z wyjątkowym zamiłowaniem poświęcającego się badaniu średniowiecznej literatury botanicznej, jest zjawiskiem i nabytkiem pierwszego znaczenia dla naszej, a pośrednio nawet i dla powszechnej literatury historyczno-przyrodniczej. Złożono tu wyniki zgłębiań i rozważań bystrych i trafnych podyktowanych wielkim znawstwem źródeł i przedmiotu.

Dzieło składa się z dwóch części, stanowiących osobne tomy. Pierwszy zawiera właściwe dzieło, t. j. *zestawienie nazwisk średniowiecznych w tym znaczeniu, do jakiego doszedł autor*. Tom drugi obejmuje cały materiał podstawowy, t. j. cały zasób nazwisk, poddanych badaniu, *w oryginalnej jego postaci i bez wyjaśnień*, jest więc tylko aneksem pracy głównej.

Poprzedzają dzieło dwie przedmowy: polska i łacińska, oraz wstęp, liczący 83 stronicę; zamykają zaś trzy rejestry.

Z pierwszych zaraz słów przedmowy dowiadujemy się, że „jest to pierwsza podobna praca na świecie.” Na zapytanie zaś pewnego kolegi: czy warto było poświęcić zadaniu siedm lat pracy?—autor odpowiada: „Czy to warto? Na przód *rezultat wszechświatowy...*” potym „odkryłem polskiego przyrodnika XV w., Jana Stanke...”¹⁾ „Dla nas zaś moje dzieło ma wieloraką doniosłość... nie tylko historia hodowli roślin, ale historia medycyny i farmacji w Polsce, a pośrednio w Europie, muszą się na mojej pracy oprzeć” (str. X). „Każdy zresztą uczony, zajmujący się historją cywilizacyi, musi z mego opracowania korzystać. Są w niem pierwszy raz złożone podwaliny, na podstawie których można będzie mówić o znajomości przedmiotów hist. natur. nie tylko wśród nas, ale porównawczo, w całej Słowiańszczyźnie” (str. XI). Bardzo wiele prawdy jest w tych słowach.

¹⁾ „...Który nie ma sobie współcześnie równego nie tylko u nas, ale i w całej Europie.” Odkrycie nieco przesadnie przedstawione. Można by sądzić, że autor odkrył jakiś nieznany, a cenny rękopis nieznanego Stanki. Tymczasem rękopis, o którym mowa, Anthibolomenum, znany jest i ceniony przez przyrodników, poczynając od Kazimierza Wodzickiego. Rzecz sprowadza się do tego, że w bezimiennym dotychczas pisarzu p. R. widzi Stanke, którego także nie trzeba było odkrywać, gdyż o tym kanoniku i lekarzu mowa jest w Przeździeckiego i w literaturze Wiszniewskiego. Wyznaniu więc pana R. niemożna nic zarzucić, ale w takim miejscu zostało umieszczone, że nasuwa przesadne rozumienie faktu, czy zasługi, o której mowa.

Cenię wysoko trud i kompetencję autora, szczerze cieszę się, że przybyła do skromnego dorobku naszego piśmiennictwa praca śmiała i gruntowna, która rozświecila pewną część mroków, zalegających jeszcze nad dziejami naszej kultury; ale właśnie dlatego wypada mi z podwójną bacznością wniknąć w szczegóły dzieła, według zapowiedzi—jedyne go, i poznać wszystkie jego zalety, oraz wady, jeśli by je miało.

Ażeby postępować metodycznie, należy nam naprzód rozważyć przedmiot badania i trudności, jakie nastreża, potem rozpatrzyć *postać* dzieła, tj. plan, układ i cały tekst, następnie dopiero rozpatrzyć *treść*, to jest samo *wykonanie zadan*ia, czyli właściwą pracę oznaczania nazwisk średniowiecznych.

Przedmiotem, jak już wiemy, jest nomenklatura, dochowana w starych rękopisach. Liczba glos łacińskich i polskich, tj. materiału faktycznego, jest dość szczupła. Nie dochodzi ogółem 8-miu tysięcy. Różni badacze, przeważnie językoznawcy, opracowywali już te pomniki i ten materiał do celów swoich; autor poddał je ponownemu odczytaniu i rozbirowi, tym razem ze stanowiska przyrodniczego. Wszystko to, z wyjątkiem jednego pomnika, obejmującego tylko 9 wyrazów, należy do wieków XV i XVI. Ów wyjątek, rękopis monachijski, opublikowany przez prof. Brücknera, należy, zdaniem tego gruntownego znawcy źródeł staropolskich do początku wieku XIV-go. Z wieków tedy XII oraz XIII niema ani jednego pomnika. Zwracam na tę okoliczność uwagę dlatego, że w tytule dzieła p. R. figuruje okres od XII wieku. Wydawaćby się też mogło, że dokumenty autora sięgają o całe trzy stulecia głębiej, niż wszystkich dotychczasowych badaczy, ale jest to zapewne tylko „licentia... logica“, oparta na rozumowaniu, że nazwy, znalezione w pomnikach wieku XV-go mogły istnieć przedtym. Zapewne, że jeżeli chodzi o domysły, lub prawdopodobieństwa, to dla wielu nazwisk można przyjąć znacznie jeszcze wcześniejszą datę, a nawet, sięgnąwszy do niektniętej przez autora kategorii źródeł historycznych, znaleźć dowody ich wcześniejszego istnienia. Jeżeli jednak chodzi nie o domysły, lecz o dokumenty, to wszystkie, na których autor się oparł, z wyjątkiem jednego, nie sięgają wstecz po za wiek XV-ty. Nie rozumiem więc, co skłoniło autora do antydatowania niejako materiału o całe trzy wieki, gdy wiemy, że zagłębienie się wstecz o jeden, ale oparte na dowodach, stanowiłoby już wypadek doniosły dla rozbieranego przedmiotu. Co do owego znowu jedynego pomnika, odkrytego przez prof. Brücknera, pan R. wspominając o nim, dziwnym trafem, myli się o całe stulecie i tak pisze na str. 24-ej: „Ten maleńki zbiorek ma to szczególniejsze znaczenie, że jest jedynym źródłem, pochodzącym z początku XIII w.“ Nie jest to poprawka, oparta na lepszym zbadaniu wieku zabytku, bo pan R. przyznaje, że rękopisu nie widział i przedrukowuje na wiarę prof. Br., „polegać... na jego ściśłości i biegłości, dającej zupełną gwarancję pod każdym względem.“ Omyłka więc zasługuje na sprostowanie, aby mniej baczne go nie wprowadziła w błąd.

Ważne światło na ten materiał w. XIV i XV-go rzucają pomniki późniejsze, nazwami, dającami się znacznie pewniej określić, a więc zielniki Falimierza, nomenklatura Szymona z Łowicza. Są one w wielu razach nieoszacowanym kluczem do zrozumienia glos dawniejszych. Uwzględnienie też ich, przy zastosowaniu metody porównawczej, bardzo ułatwiło pracę oznaczania.

O trudnościach zadania autor obszernie opowiada w przedmowie, oraz wstępie na str. 77-83.

Kilka wyjątków dobrze nas o tym objaśnia:

„Opracowanie średnich wieków napotyka (tak!) na niezmierne trudności...” — pisze autor na str. VIII przedmowy.

„Przestudjowałem najważniejsze źródła starożytnej i średniowiecznej literatury i dwa lata uczyłem się średniowiecznej historii naturalnej“ (str. IX). „Sko-ro szukanie jakiejś nazwy w olbrzymich nieraz woluminach, zwykle bez indeksów, ogromną jest stratą czasu, zdecydowałem się na zestawienie sobie łacińskiego kartkowego indeksu do wielu najważniejszych źródeł starożytnych i średniowiecznych; utworzył się z tego katalog, liczący około 18 000 kartek, który mi pozwalał każdej chwili wszystkie teksty, odnoszące się do tej samej nazwy, porównywać. W dodatku miałem prawie wszystkie słowniki przyrodnicze epoki Renesansu“ (str. 78 i IX).

„Chociaż miałem setki innych książek i broszur, chociaż liczne biblioteki europejskie, od Montpellier do Petersburga, stały mi otworem, to jednak nie miałem wszystkiego, czego potrzebowałem z literatury wyłącznie średniowiecznej“ (str. 78).

„Każde źródło (polskie) opracowywałem osobno“ (str. 82). „Potem zesta-wiłem ze wszystkich alfabetyczne indeksy — polski i łaciński“ (str. 82) i t. d.

W taki to sposób tworzyło się dzieło, którego przedmowę zamyka autor następującymi słowy: „Przed czterema laty uderzyły mnie słowa, które Marcin z Urzędowa... wypowiedział: Życzę, aby się Polacy narodu swego rozmiłowali.. i to, co *najlepszego* z daru Bożego kto miał, ojczyźnie swej i ludziom narodu swego udzielałi.—I ja zrobiłem w tym roku jubileuszowym, na co mnie stać było“ (str. XI).

Nim zajmiemy się rozbiorem samego dzieła, wypada powiedzieć słówko o wstępie. Dzieli się on na cztery rozdziały: w 1-m mamy „przegląd literatury starożytnej i średniowiecznej“, w 2-m „o naszych źródłach w ogólności“, 3-ci obejmuje „szczegółowy przegląd“ tych źródeł, ostatni „o oznaczaniu przedmiotów.“ Pomimo tego pozornego porządku, jest dziwnie trudno, nawet przy uważnym roz-czytywaniu się, odnaleźć tu informacje, niezbędne do orjentowania się w tekście.

Najchaotyczniej ułożono najważniejszy rozdział — trzeci. Mamy tu numerację podrozdziałów, niepraktykowaną nigdzie. Naprzód widzimy nagłówek XIII, po nim idą: V, XIV, VI i t. p. Są to numery kolejne tekstów, podanych w „Ma-terjalach“ w porządku I, II, III i t. d., ale tu nie ma żadnego innego nagłówka choćby tego, który figuruje w „żywej paginie“ Materjałów; tam zaś, w „żywe paginie“ brak znowu choćby owej cyfry rzymskiej, pozwalającej szukać źródło odnaleźć.

Choć to usterki tylko, jest jednak z tym bardzo niedogodnie. Powiększa niedogodność brak zwykłego spisu rzeczy w obu tomach, oraz jasnego skoru-widza źródeł.

* * *

Teraz wypada nam poznać samo dzieło i zobaczyć, jak wygląda w ukła-dzie autora *przedstawienie* wyników pracy.

Tom pierwszy obejmuje cztery działy: 1) o roślinach, 2) o zwierzętach, 3) o kamieniach, 4) „inne leki proste“. Dział roślin i zwierząt, zebrany wyczerpująco, ułożono według rodzin. Ostatnie dwa są właściwie mocno niekompletną mieszaniną najróżniejszych rzeczy. Usystematyzowanie tych części pozostawia wiele do życzenia. Mamy np. w jednym szeregu nagłówki: *sandaresos* (kocie oko) i *lapis molaris* (kamień młyński); *jaspis* i *cos* (oselka do ostrzenia); narówni z *marmurem* jakiś *calculus urinarius* podano dlatego, że skład jego jest wapienny, i tak wszędzie. W księdze „de lapidibus“ pomiędzy minerałami, drogiemi kamieniami i metalami znajdujemy (pod Hydrogenium) kilkadziesiąt wódek ziołowych, jak: jałowcowa, a ryżowa, majeranowa i inne. Miejsce dla nich było przy odpowiednich roślinach, gdzie już są olejki, wódki, oraz inne z nich produkty, a jeszcze lepiej w dziale czwartym, „leków“. Ten ostatni mieści prócz przedmiotów, „będących w związku z medycyną“, trochę takich rzeczy, które mają bardzo chyba warunkowy z nią związek, jak np. strucle, ozór, plerogi — albo nawet zgola żadnego, jak ogień, pożar, pastwisko — ale to przynajmniej jest zastrzeżone, więc nie dziwi, gdy tymczasem wódki ziołowe wśród minerałów stanowią *curiosum*. Wogóle dla powagi dzieła byłoby korzystniejsze, gdyby obu ksiąg ostatnich wcale nie miało. Pomijam też ich rozbiór w niniejszym sprawozdaniu.

Właściwy tekst dzieła, tj. tom I-szy, w każdej pozycji gatunkowej oddzielnie składa się z szeregów nazw, osobno łacińskich, oraz cyfr przy jednych i drugich. Przykład najlepiej nam to objaśni.

Weźmy ustęp o *Soczewicy* (*Ervum Lens* L.) na str. 215. Cały wykład autora mieści się w następujących cytatach:

„*Fassiolus* 3492 *lens* 181, 1316, 2135, 2584, 2697, 4413, 5825, 6193, 6975, 7251, 8092, 8279, 8912 *lenticula* 3530.

Soczewica 169, 2667, 3198, 3948, 3086, 4826, 6669, 8058, 8561, 8563, 10101, 10748 *soczowica* 7183, 8562 *soczewiczka* 3916 *tarna* 1954.“

Co nas objaśniać może szereg cyfr i wyrazów, które tu widzimy? Na razie bardzo mało. Cyfry jednak odsyłają nas do odpowiednich pozycji tomu drugiego, inaczej mówiąc do oryginałów glos, o które chodzi. Chcąc wiedzieć, co cyfry mówią, musimy, liczbą po liczbie, szukać nazwisk osobno łacińskich, osobno polskich w tomie II. Poświęciwszy dopiero na wertowanie tych kilku wierszy *pół godziny*, wypiszemy sobie długi szereg cytat, z których, po sprowadzeniu podobnych do siebie razem, otrzymamy, co następuje:

Soczewica—lens Stanko 121 — R. Bibl. Jag. N. 778 — R. B. Jag. N. 1891 — R. B. Zamoj. 630-631. — Ortus Sanit. 254 — Łowicz—Falim.—Bartl z Bydg.—Murmel.

Soczewica—lenticula R. B. Zamoj. 631, 281.

Soczowica—lens Herbar. 237.—Falim.

Soczewiczka—fassiolus. R. B. Zamoj. 631, 281.

Tarna—lens R. B. Jag. N. 774.

Ten dopiero wykaz mówi to, czego z szeregu oderwanych wyrazów z towarzyszeniem cyfr nie możemy się dowiedzieć.

Teraz dopiero widzimy, które mianowicie źródła wspominają o soczewicy i jakie synonimy łacińskie towarzyszą w nich polskim,—jednym słowem—*jak wyglądają w średniowiecznym zestawieniu wszystkie synonimy, które autor odniósł*

do *dzisiejszego Errum Lens*. Pochodzenie i wiek synonimów, związek ich pierwotny, różna wartość ich, i to wszystko, co czytelnik powinien mieć przed oczyma, zostało zasłonięte i podane pod postacią cyfrowanych cytata. Możemy wprowadzić wiedzieć, co mówią te cyfry, ale w tym celu potrzeba szukać każdej pozycji oddzielnie i notować. Tej roboty niepodobna przeprowadzać, chyba dla próby, bo zabiera wiele czasu. Same zaś nazwy, podane w oderwaniu, polskie osobno, łacińskie znów osobno, zaspokajają mogą bardzo jednostronną tylko i powierzchowną ciekawość i potrzebę, zwłaszcza, że niema dla nich indeksu kompletnego, który przy takim układzie był wprost niezbędny.

Gdybyż choć należało do siebie nazwy łacińskie i polskie były opatrzone *jednakowym numerem bieżącym*, ku czemu żadnych nie było przeszkód, dałoby się przynajmniej jako tako ich związek bez szperania w drugim tomie wysledzić, ale to niemożliwe, bo numeracja obu szeregów nazw biegnie niezależnie od siebie.

Fassiolus np. ma N. 3492, a należąca do niego Soczewiczka już inny, bo 3916.

wyrazowi lens 181 odpowiada soczewica z numerem 169.

wyrazowi lens 1316 " tarna " 1954.

I tak wszędzie! Do czego to było potrzebne, tego nie rozumiem, ale wytworzyło najdotkliwszą niedogodność przy wszelkich poszukiwaniach, bo ciągle trzeba się mieć na baczności, aby nie szukać cyfry w niewłaściwym szeregu.

Sposób więc przedstawienia wyników pracy jest bardzo niedogodny i przeciwny naturze roboty.

W pierwszej chwili nasunęła mi się myśl, że może taki układ był niezbędny w dążeniu do nadania książce możliwie najmniejszej objętości; ale po rozważeniu doszedłem do pewności, że nawet nie porzucając systemu cyfrowego, który zresztą wcale nie jest pomysłem szczęśliwym, można by użyć dogodniejszej dla czytelnika numeracji, złożonej z numeru źródła i numeru bieżącego w źródle, np. zamiast Fassiolus N. 3492, można było wyrazić to samo cyframi: X,153, przy czym odpowiedni wyraz polski miałby tę samą cyfrę.

Najlepiej jednak byłoby użyć skrótów literowych, jak się to powszechnie praktykuje. Dobrze obmyślane nie zajęłyby wiele więcej miejsca aniżeli cyfry, np. N. 3492 mógł być podany jako „Zam. 280,” co jest zrozumiałem skróceniem wyrazów „Rękopis bibl. Zamojskich, folio 280.” Najstosowniej przytym byłoby należące do siebie synonimy podawać razem, bo to jest we wszystkich podobnych dziełach praktykowane, więc mogło być:

„Soczewiczka—fassiolus. Zam. 280“

zamiast użytych dwóch cytata:

„soczewiczka 3916“ i osobno „fassiolus 3492“,

których związku ani pochodzenia zrozumieć niemożna.

Miejsca takie cytaty, na ogół wzięwszy, zabrałyby najwyżej o 20% więcej—oto cała strata. Nie mówiąc zaś o praktyczności ich, takie zredagowanie wyników kosztowałoby autora nie więcej pracy, lecz mniej nawet, rozdzielenie bowiem synonimów i zamiana *zrozumiałych* cytata na nic nie mówiące *cyfry* wymagały przeróbki gotowego niemal rękopisu.

Cui bono się to stało?—trudno zrozumieć. To tylko faktem, że pierwotna jasna i zrozumiała dla każdego w rękopisie całość została rozbита na atomy bez związku. Wprawdzie nici, dające wyjaśnienie, tj. prowadzące do materiałów „in crudo“ nie zostały przecięte, ale praktycznie *nie egzystują*, skoro korzystanie

u nich może być przedsiębrane tylko wyjątkowo i na bardzo małą skalę pod warunkiem tracenia każdorazowo więcej czasu, aniżeli *na taką rzecz* bardzo nawet cierpliwy i uparty badacz może poświęcić *).

Wiedział o tym dobrze autor, gdyż wydrukował tomu II-go, który jest kluczem do zrozumienia całości, znacznie mniej egzemplarzy, o czym lakonicznie wspomina, bez podania racji, na str. 22. Ale cóż w takim razie warte owe sze regii cyfr w tomie I-ym dla nieposiadających II go? Będą już zupełnie bezużytecznym balastem (jak są poniekąd i dla posiadaczy kompletu).

Czy tak powinno być zredagowane dzieło interpretujące oryginalnie i poraz pierwszy na wielką skalę, pomniki języka i kultury?

Badacz, który rozumie zawiłość swego zadania oraz wagę rozwiązania, powinien wiedzieć pierwszy, że w możliwie jasnym przedstawieniu wyników, które publikuje, spoczywa główna wartość jego dzieła.

Dotknąłem jednej strony ujemnej układu dzieła i wypowiedziałem jedną połowę zarzutu z niej płynącą.

Jest jeszcze druga i cięższa. Autor mógł znakomicie ułatwić przyszłym badaczom nowo-odkrywanych pomników uciążliwe dociekanie, tymczasem na tym punkcie zawód zupełny. Nie chodzi mi tu już wcale o te obszerne indeksy po mocnicze, o ten cenny aparat, jaki sobie długą pracą stworzył p. R. do użytku osobistego; nie mamy prawa ich żądać. Chodzi mi tylko o to, że autor, dając nam w tej a nie innej postaci, wyniki swej pracy, całą robotę oznaczania ukrył przed wzrokiem czytelnika, zastonił drogi, po których przeszedł przez labirynt wątpliwości i błędów i nic nie zostawił prócz nagich rezultatów. A przecież nie poszłoby na marne doświadczenie autora, skoro sam na str. 20 ej nie wątpi, „że staranne przejrzenie różnych rękopisów i inkunabułów, znajdujących się po różnych bibliotekach, pozwoliłoby tę liczbę (materiału) nie tylko napewno *podwoić*, ale nawet *potroić*.”

Pomimo to p. R. powiada, że „ktokolwiek będzie się tym zajmował, znajdzie w mej pracy nie fundament tylko, ale *gmach porządnie zbudowany*” (str. 20) Dziwną, zaiste, obrat autor strukturę dla swego gmachu: przypomina ona uderzająco labirynt kapitanów egipskich!

Że układ utrudniający korzystanie z dzieła, jako środka pomocniczego w potrzebie nowych oznaczeń, utrudniający zarazem kontrolę wyników autora, nie jest dziełem przypadku—na to mamy dowód w jego wyznaniach: „Opowiadanie jaką drogą dochodziłem do oznaczeń, byłoby nierozsądną gruntownością” (I—str. 85). „W pracy tego rodzaju, jak moja, ostateczny rezultat zależy tylko od sumienności i ścisłości, posuniętej do ostatnich granic rozsądnej gruntowności....” „Ale opisywanie drogi, prowadzącej do oznaczania, byłoby nierozsądną gruntownością,” (jeszcze raz na str. 82).

Powiada wprawdzie autor: „Ogłosiłem wszystkie materiały, z których korzystałem, według oryginałów; *każdy może korzystać z nich w równej mierze*” (str. 82), ale przecież słowa te zakrawają na żart. Mowa tu tylko o surowym

*) W takich warunkach tom II-gi, obejmujący 350 stronic, posiada małą wartość praktyczną; jest on przecież tylko suchym przedrukiem danych, które i po za dziełem pana R. są dostępne w oryginałach lub przedrukach, dokonanych przez innych badaczy.

materjałe, którego nie potrzeba koniecznie szukać u pana R., jest on bowiem i po za dziełem jego dostępny, a nam chodzi nie o pozwolenie rozpatrywania się w nim, lecz o to, aby rozumieć, jak ten materjał został wyjaśniony.

Autor postawił się ponad wszelką kontrolę i krytykę. Pozbawia nas kryterjów, jakie daje literatura specjalna, w częście nasza, przeważnie zaś obca. Korzystał z niej przecież sam, wertując wszystko, co mogło mu być dostępne.

Nagle dowiadujemy się dalej, że *wszyscy bez wyjątku* poprzednicy nie znali się na rzeczy. „Glossarium“ Dieffenbacha „jest odstraszącym przykładem, że podobnych rzeczy bez specjalnego przygotowania opracowywać nie można“, (Przedm. VII). „Jest to hultajski bigos nazw niemieckich“ i t. d. (str. 79) „W książce Prietzla i Jessena materjał jest niezupełny i niekrytyczny“ (str. 79). „Sternberga *Abhandlung*.... jest bardzo przestarzałe.“ Praca Józefa Rudy ma także ciężkie, wady i t. d.

Koronuje wreszcie p. R. na str. 53 bezwzględność swą wygłoszeniem następującej zasady: „*Z poprzednikami nie polemizuję*. Gdzie istnieją różnice między nami, bądź w odczytywaniu, bądź w tłumaczeniu nazw, *tam obstać przy własnej wersji*.“ Metoda, zaiste, wygodna: z jednej strony milczące pomniki, z drugiej ich absolutny wykładacz.

Utrudniwszy proste choćby rozpoznanie własnej interpretacji i zapewniwszy nas o bezwartościowości dotychczasowych probierzy i komentarzów, zastrzegł sobie, iż *niczyjej kompetencji nie uznaje*—zamknął się autor tym samym, jak w dobrze obwarowanej twierdzy. W takich warunkach nie łatwo już przekonać autora, że tu lub owdzie rzecz nie trafnie wyklada.

Możnaby się zresztą zgodzić i na tak dalece samodzielny charakter pracy reformatorskiej, od podstaw, ale *wyjątkowe stonowisko tymbardziej narzucało obowiązek przejrzystego zredagowania wyników, abyśmy je nie tylko widzieli, lecz i rozumieli*; a temu warunkowi—jak widzimy—autor nie uczynił zadość.

Teraz popatrzmy na inne jeszcze ujemne strony ponumerowania rozdzielnich cytat. Łatwo przewidzieć, że przy tej robocie wkrađło się sporo omyłek druku i ukryła się niejedna nieścisłość. I jedno i drugie można odkryć jedynie poszukując czegoś w źródłach, t. j. przywracając pierwotną zrozumiałość cytat, Szukałem *korzekwicy* napróżno pod wskazanym nr. 3214. Skąd pochodzi i co to jest „*osłodycz* 4498“—nie można dojść, bo jej niema pod tym numerem.

Potrzebowałem odczytać cytaty, podane dla *Gladiolus imbricatus* L. (str. 130). Oto one:

Gladiolus imbricatus L.

„ireos 1350, irers 3541, spacula fetida 3268, spatula fetida 5225, 6290 8042, spatula foetida 1568, spatula felida 4170.

„czyrwony kosaciec 5845, kosanki 5560, kosatki 124, 3715, 4565, 7301 9903. borowy mieczyk 123, mieczykowice borowe 3932, borowe mieczykowice 3940.“

Chcąc podstawić pod cyfry ich znaczenie, szukam ich po kolei w „Matejalech“ i co chwila natrafiam na przeszkody, wywołane omyłkami w cyfrach. Przy pierwszej zaraz pozycji podana liczba 1350 prowadzi mię do *diptamnus*, co jest oczywistą omyłką. Szukam „ireos“ już bez odsyłacza, (a do szukania mam cierpliwość, wyrobioną przy układaniu mego Słownika), i przekonywam się, że tu

powinna figurować cyfra 3510, nie zaś 1350. Druga liczba 3541 znowu jest błędem; prowadzi ona do *aristologia longa*. Szukam bez przewodnika wyrazu *irers* i znajduję go pod nr. 3521. *Spatulae foetidae* niema wcale pod wskazanym n-rem 1568: jest tam *elleborum nigrum*—*kychawka*; powinno być 1586. Jeszcze dalej, pod nr. 5845, zamiast „czerwonego kosaćca“ znajduję *kokornak*. Szukam na los szczęścia —i wyraz właściwy znajduję pod nr. 5815.

Cztery więc omyłki w 5-ciu wierszach. Zapewne mało gdzie jest ich tyle, ale ileż ich może być w całym dziele, posiadającym liczb takich 20.000?*) Cyfry te wypełniają przecież trzecią część tekstu.

Napracowawszy się więcej niż trzeba, dochodzę do następującego spisu synonimów:

Cossanky—*spatula fetida* *Ręk. prags. 251.*

Czyrwonny kossacyecz—*acorus. Herbarius.*

Kossathki—*yris yilrica. Anthibol. 91.—R. Bibl. Jag. 5468.*

Cosathky—*spacula fetida. Kosathky, kossatky i kossathky—spatula fetida i felida. R. B. Zam. 631.—Herbarius 361.*

Kosathky—*spatula fetida. Mat. Sylv. 632.*

Myeczykovye borove—*ireos. R. B. Zam. 280.*

Morove myeczykovye—*yrsers „ „ 281.*

Borovy meczik—*yris yilrica Anthibol. 91.*

Porównyując ten tekst z tekstem autora, znajduję inne jeszcze nieścisłości. Widzimy tu trzy synonimy łacińskie, które p. R. opuścił. Są to: *acorus* i *yris yilrica*. Że ich p. R. nie akceptuje—rzecz słuszną; mimo to należało je podać—choćby z wykrzyknikiem, że to źle. Ostatniego przecież użył Stanko, ten Stanko, którego autor stawia między Albertem Wielkim a Konradem Gessnerem w historii nauk przyrodniczych (str. X). Tymczasem i tu i w wielu innych miejscach autor przytacza jego dane nie tak, jak on rzecz rozumiał w XV wieku, lecz jak się panu R. podoba rozumieć. Ale mniejsza o powagę Stanki. Tu chodzi o sprzeczność z samym sobą.

Przypomnijmy sobie, co autor obiecał zrobić z błędnymi oznaczeniami.

„Pod dzisiejszą naukową nazwą łacińską—mówi na str. 83-ej—zestawione są wszystkie nazwy polskie, które się do niej trafnie odnoszą, a zarazem i nazwy łacińskie średniowieczne, które przy polskich stały, bez względu na to, czy były trafnie, czy błędnie użyte.“

Zgodnie z tą zapowiedzią, i *Acorus* i *Iris illirica* bezwarunkowo powinny figurować w rozbieieranym przykładzie. A przecież ich tam niema. Jest nawet gorzej—bo autor nie trzyma się żadnej zasady: w jednych miejscach błędny synonim przytacza z ostrzeżeniem, np. pod *Taxus baccata* (str. 103) pisze: „*ile! edera arborea 2469*“... „*ile! tamariscus 5659*“; w innych—zamieszcza takie same omyłki, już bez ostrzeżenia, albo je, jak widzieliśmy, pomija wbrew zasadzie. Zdarza się zaś i tak, że ten sam synonim raz pomija, drugi raz za

*) Nie brak ich w tekście. Potrzebując zajrzeć na str. 42, znalazłem: „*herasinum 1862*“ zam. 1254, „*lilibea 1610*“, gdy powinno być 1074 i t. d. Ni gdzie ich nie sprostowano, bo to niemożliwe—trzeba by siedzieć miesiącami nad sprawdzaniem wszystkiego.

mieszcza: np. pod *Sambucus nigra*—gdzie „*ebulus 5777 bez*“ *Ortus san tatis* pominięto jako błędny, gdy „*ebulus 4375*“, także *bez*, z rękopisu bibliotek Zamojskich, figuruje.

Takich dowolności znalazłem dużo; a ileż ich czeka na ujawnienie?

Wypada mi jeszcze zwrócić uwagę na niejednolity sposób przytaczania nazwisk łacińskich i polskich i na niepożądane skutki takiej metody. Wszystkie nazwy polskie autor przepisuje z „Materiałów“ w pisowni nowoczesnej, łacińskie w postaci oryginalnej. Naprzód pytam: dla czego w sposób dwojaki traktowano szczegóły jednowartościowe? Jeśli ciekawość oryginalnej pisowni nazwisk—próżna, i czemuż autor nie zlewa w ten sam sposób odmianek łacińskich? Dlaczego figurują oddzielnie nie tylko najblizsze warjanty pisowni, i tak już uwiecznionej w tomie II-m, jak np. w wyżej przytoczonym tekście *Gladiolusa: spatula fetida* osobno od *spatula foetida*, ale nawet zwykłe omyłki pisarza, jak „*spacula*“ zamiast *spatula*, „*felida*“ zam. *fetida*, oraz oczywiste i bezsensowne przekręcenia, jak „*irers*“ zam. *ireos*, „*eleberus*“ zam. *eleborus*, „*gemiana*“ zam. *genciana* i mnóstwo podobnych?

Jeśli różne pisownie polskiego wyrazu *wężownik* (*Polygonum bistorta*) połączono, możnaby też śmiało połączyć wszystkie siedm synonimów ich łacińskich: *dragantea*, *dragentheia*, *draguntea*,—*thea*, *dragontea*, *dragonthea* i *dragontheia*—pod jedną postacią, najpoprawniejszą.

A teraz słówko o następstwach.

Gdyby skorowidz łaciński zawierał wszystkie przytoczone w tekście odmianki, byłby to drobiazg, zaledwie wart, aby o nim wspomnieć; ale próżnobyśmy tu większości ich szukali,—co już jest wielką niedogodnością. I nie tylko warjantów—*brak tu nawet bardzo wielu nazwisk samodzielnych*, że przytoczę dla przykładu *stropharia 1654* i *herasinum*, a mógłbym przytoczyć wiele innych. Chcąc też dowiedzieć się, jak autor wyjaśnił ten lub ów wyraz średnio-wieczny—bądź polski, bądź łaciński, nie możemy w wielu razach ciekawości zaspokoić, bo (jak już wlemy) indeks polski zredagowano w pisowni nowoczesnej, łaciński zaś jest mocno niekompletny.

Co jest np. „*moczyszal 4446* = *meagero 4032*“? Obu wyrazów niema w skorowidzu. Łacińskiego brak zupełnie, polski zaś figuruje w transkrypcji nowoczesnej. Jeśli jej sobie nie odtworzę, wtedy nie mam sposobu dowiedzieć się jak go autor zapisał i wytłumaczył.

To samo z wyrazem „*solczen 2542*.“ Doszedłem wprawdzie, że to *mo czyrał* i *zółcień*, ale nie zawsze tak się udaje. Nie wiem np., czym jest u autora „*narzaszye 3269*.“ System taki, przy niekompletności skorowidzów utrudnia wszelkie poszukiwania i zmniejsza użyteczność dzieła, prowadzi też niekiedy do nieporozumień.

Ale dość już uwag, dotyczących układu. Jeśli teraz przypomnimy sobie twierdzenie autora, że dał nam wszystko, „na co go stać było“, zdaje mi się, że wolno nadmienić, iż dał to istotnie, ale zestawione w wysoce niedogodny sposób.

Przejdźmy z kolei do rzeczy najważniejszej—do sposobu wykonania *zada nia*, do *czynności oznaczania*. Wiemy już, jak zadanie było trudne i skomplikowane. W pomnikach co krok sprzeczności, albo zagadki tak ciężkie, że wiele

z nich na zawsze pozostanie nieodgadnionemi. Następuje się pytanie: jak się to stać mogło, że je autor prawie wszystkie wytłumaczył?

Oddając sprawiedliwość wiedzy jego, doświadczeniu i przenikliwości, muszę zaznaczyć, że jednak główna tajemnica powodzenia leży w metodzie pracy i stanowisku, jakie autor zajął względem źródeł.

Najważniejszą cechą tej metody jest... niestrzymanie się żadnej metody.

Trudniejsze węzły, które inni *rozwiązują*, albo usiłują rozwiązać, p. R. *rozcina*. Nie krępuje się ani interpretacją poprzedników—o co mniejsza,—ani sensem oryginałów. Znaczenie więc jednych nazw wyjaśnia na mocy ich synonimów, znaczenie innych bez oglądania się na sens towarzyszących im synonimów.

Nazywa to autor „prostowaniem błędnych oznaczeń.” Bardzo to właściwa, zresztą znana droga, gdy się ma do czynienia z oczywistymi omyłkami oryginałów i z błędnymi zestawieniami nazw powszechnie znanych; pamiętajmy jednak, że takie „prostowanie” graniczy o miedzę z *narzucaniem* wyrazom sensu, którego może nie miały; w najlepszym razie będzie to tylko stawianiem przypuszczeń prawdopodobnych. W nauce ścisłej nie stawiamy przecież domysłów na równi z twierdzeniami; tutaj wszystko jest przedstawione współrzędnie i jednowartościowo — i to uważam za wykroczenie przeciw ścisłości naukowej. Skoro prawie nigdzie nie odróżniono mniej pewnych, albo zgoła wątpliwych wykładów od całkiem pewnych, związek zaś synonimów w tekście jest zatracony, pozostaje nam albo ślepo wierzyć, że wszystko jest rozwiązane trafnie, albo ostrożność rozciągnąć *bezpotrzednie* na ogół oznaczeń, choć tylko część ich należy do kategorii dowolnych, t. j. dokonanych na podstawie osobistej wiedzy i woli.

Jakie takie rozpatrzenie się w pracy p. R. ostrzega nas, że nie na wszystko można się zgodzić — i już wiara w nieomyślność autora, gdyby ją kto miał nawet, jest podkopana w wyższym stopniu, aniżeli by to być mogło i powinno. *Odczytywanie* sensu miesza się tu ciągle z *narzucaniem*; to ostatnie góruje wszędzie, gdzie są do zwalczenia przeszkody lub wątpliwości. Ułatwiło to niezmiernie pracę, ale też nadaje dziełu miejscami piętno raczej *twórczej* pracy, aniżeli badawczej i odtwarzającej. Słuszności powyższych uwag wypada mi dowieść.

Narzucanie wyrazom sensu, którego nie miały, objaśnię na jednym jaskrawym przykładzie.

Autor znalazł głosę *Cis*, „czysz” dopisaną na egzemplarzu Pandektów Mateusza przy wyrazie *tapsus*. Wyraz ten łaciński oznacza, jak wiadomo, tylko dziewannę, a co najwyżej podobne do niej z postaci zioła. Nikt też nie poważyłby się, na podstawie łacińskiego wyrazu, odnieść *cisu* do dziewanny, ani na podstawie polskiego—odnieść dziewanny do *cisu*. A jednak nazwisko dziewanny, *tapsus* figuruje w szeregu synonimów *cisu* na str. 103-ej!

To już nie jest „prostowanie błędnych oznaczeń,” ale właśnie mnożenie zamętu przez uwiecznianie i podnoszenie do godności synonimów najprostszyszy omyłek jednego człowieka, który jedynie przez roztargnienie wziął w słowniczku *tapsus* za *tacus*—i tu nie zaś tam dopisał polski wyraz *Cis*. Należało tu wyraz łaciński opuścić, albo podać w formie poprawnej.

Na tym przykładzie łatwo także zrozumieć, iż kwalifikowanie wyrazów polskich wbrew łacińskiemu może być niebezpieczne *nawet wtedy*, gdy jest trafne, gdyż narzuca obok stojącym synonimom łacińskim sens, którego ani tu, ani w żad-

nym innym pomniku nie miały. Jest to zgodne wprawdzie z zasadą, wygłoszoną na str. 83-ej *), która uwalnia autora od kłopotu: co począć z mnóstwem niedających się określić naprawdę, lub zgoła nieestosownych synonimów łacińskich,—ale zasada ta jest przeciwna ścisłości naukowej. Takich synonimów nie powinno się umieszczać tam, gdzie nie należą i na równi z dobrami, *zwłaszcza wtedy, gdy się je podaje w oderwaniu od polskich, przy których w oryginale stały.*

Są oznaczenia, mniej bijące w oczy niż *tapsum*, a jednak równie niebezpieczne, bo zgoła niepewne. Co to np. było raz znalezione „*herasinum* = *parzydło*” Stanki, tego nie wiadomo. Przez porównanie tylko wyrazu *parzydło* z XV wieku z polską nazwą ludową dziś istniejącą w jakiejś okolicy, p. R. przyjmuje, że to była nazwa rośliny *Agrimonia Eupatorium*. Dla polskiej tedy prawdopodobieństwo jest znaczne, ale też tym wykładem powinien być p. R. ograniczyć się. Zaliczenie i łacińskiego wyrazu *herasinum* do synonimów *Agrimonii*, uważam już za ryzykowne, bo nie mamy żadnej pewności, czy ono do brze stoi przy *parzydło*, lub czy niema tu jakiej niedokładności w oryginale, bo takich nieścisłości w pomnikach setki. Kwalifikowanie więc nieznanego wyrazu łacińskiego na mocy polskiego niezbyt pewnego, albo odwrotnie, nazwać można i trzeba budowaniem przypuszczenia na przypuszczeniu, a podobnych przypadków możnaby przytoczyć bardzo dużo.

Język jest organizmem żywym—przetwarza się ciągle: jedne wyrazy gasną w biegu wieków, inne przetwarzają swą postać, jeszcze inne — zmieniają znaczenie. Tak samo i nazwy zwierząt lub roślin przenoszą się z gatunku na gatunek, z rodzaju na rodzaj; nie każda to samo oznaczała pięćset lat temu, co oznacza dzisiaj. Trzeba się z tą ruchliwością języka rachować, bo można zamiast pomóc badaczom kultury pierwotnej — wprowadzać ich na bezdroża. Że takie wypadki się zdarzają, na to dam parę przykładów. *Jalovyecz* 2266 — *solsequium* żadną miarą nie powinien być utożsamiany z *jałowcem* — *juni-perus*, bo *będzie* to niemal powtórzeniem historii *cisu* i *dziwanny*. Jest to *Helianthemum vulgare* (poślonek), rosnąca na pastwiskach i pagórkach jałowych, skąd właśnie wynika racja nazwy. Sam nawet synonim *solsequium* 1614 i drugi polski synonim *szlonecznyk* 2265, stojące w zabytku obok tamtej, powinny były pana Rostańskiego od błędu uchronić.

Czy *wisz* 104 i *ostrysz wodny* 1247 właściwie znalazły się pod *Carex* — to bardzo wątpliwe. Mnie się zdaje, że to po dawnemu *Juncus* i *Scirpu's*. „*Miątlicza*” 107 raz tylko jeden występuje — i to bez żadnego objaśnienia, ale za to u Stanki między trzcinami i sitowiem. Pan R. podciągnął ją pod *Agrostis Spica venti*, t. j. przyjął w dzisiejszym jej znaczeniu. To oznaczenie uważam za ryzykowne, bo wyraz ten lepiej nawet mógł oznaczać rodzaj trzciny z miotłowatemi kwiatostanami. Nie mogę tutaj rozpisywać się, wymieniać zauważonych wątpliwości, bo trzeba by wyłożyć na czym polegają, a to zabiera zbyt wiele miejsca. Kto chce mieć pojęcie, ile tu oznaczeń spornych i niepewnych niech rozpatrzy się w gatunkach *Allium*, niech

*) Powtarzam ją tutaj jeszcze raz: „pod dzisiejszą nazwą naukową... zestawione są wszystkie polskie..... trafne, a zarazem łacińskie, które przy polskich stały, bez względu na to, czy były trafnie lub błędnie użyte.”

spojrzy na *Marchantia polymorpha* na str. 96 i przeczyta, co sam autor o tym mówi na str. 354, pod *epatica*, niech porówna synonimy *Polygonum Bistorta* z *Calla palustris* i t. p. Botanik łatwo się o tym przekona. Ja muszę tylko potrącać o różnego rodzaju wątpliwości i objaśniać je na jednym lub paru przykładach, a ciśnie się ich pod pióro i tak mnóstwo.

Co do sprzeczności z samym sobą w oznaczaniu.

Na str. 73 gromi p. R. średniowieczn. glosatara za to, że psi oset 9622 nazwał *aspergula* (7676) i powiada, że *aspergula* jest to *Asperula procumbens*, zaś psi oset to *Leonurus Cardiaca*.

Przy tej sposobności sam krytyk popełnia aż trzy niedokładności. Najprzód *Asperula procumbens* nie egzystuje. Jest w botanice *Asperula*, ale bez gatunku *procumbens*. Należy on do innego zgoła rodzaju, do *Asperugo*. Następnie, wbrew własnemu orzeczeniu, uznaje p. R. na str. 309 *aspergulę* 7676 za synonim innej rośliny: *Gallium Aparine*. Wreszcie psi oset odnosi także tutaj, nie zaś do *Leonurus Cardiaca*, jak było zadecydowane.

Gdzież pan R. ma rację? Czy na str. 73, czy na 309, lub też na 282?

Pisownia wyrazów nie zawsze jest wiernie oddana.

Z „parchawki“ pomników (462 i 2535) zrobiła się w tekście „parchewka“, a z „kichanycza“ 4799—kichaczka (str. 120).

„Szkoroszoncz“ 1894 i kilka innych na *-oncz* i *-ancz* podano na str. 305 jako skróćć, gdy tu jest *q*, nie zaś *ę*. Tak samo „skoroyczancz“ 11003 nie jest skróćć, ale raczej „skorociąć...“ Bardana z pomnika podana jest w cytacie jako *barbana* 5476**), a tamże *salnia* 1671 jako *salwia*, co tym bardziej pod *Pulsatilla pratensis* nie pasuje.

Wynikają stąd niekiedy powikłania. Głosę „czyes“ 9833 odczytał autor, uwiedziony łacińską, jako „jeż“, gdy to jest „cis“. Jeż w pisowni pomników miewa wprawdzie różne postaci, jak *yesz*, *yez*, *iesz*, *iez* i *gesz*, ale żadna nie posiada *c* lub *cz*, które figurują w nazwach *cisu*.

Już to *cis* nie miał szczęścia, bo niechęący znajdują w nim jeszcze jedną omyłkę, ukrytą pod postacią cyfry 9618. Cyfra ta prowadzi do wyrazu „*risz*“= *risi* 7672. Ten sam zresztą wyraz, lepiej odczytany, figuruje, gdzie należy, pod *Oryza sativa*; raz jest więc ryżem, drugi raz *cisem*.

Niebrak nawet w oznaczaniu omyłek rażących. Nazwa ostróżki 9594 została podana za synonim *Melilotus officinalis* (str. 210), gdy to jest przecież *Delphinium Consolida*. Tam, gdzie należało, cytaty tej brak..

Dereń 1189 (str. 170) i Drzon z dwóch pomników: 3303 i 4398, zostały uznane za *Berberys*, gdy to jest *Cornus Mas*. To jest ważne, bo dzięki temu krzew *Cornus Mas* nie figuruje wcale w Średniowiecznej florze, choć same nazwy czeskie wskazują, że tu o nim mowa. Wątpię, czy Ukropnik 1770 może być mchem *Funaria hygrometrica*. Nic nie przemawia za tym oznaczeniem. Pod *Rysia* (*Felis Lynx*) zagarnął autor aż cztery glosy zgoła *rysiowi* obce:

parad (*pardus* 8352)

pard (*pardus* 8570)

i leopard (*leopardus* 8281 i 8571),

*) Nawiasem dodam, że *Asperguli*, jak wielu innych, niema w skorowidzu.

**) W moim słowniku jest za T. Wierzbowskim *barvana*, p. t. II, str. 851.



a przecież, są to najprzód wyrazy prawie obce, bo nawet niespolszczone; powtóre nie dowodzi, aby Bartłomiej z Bydgoszczy i Murmelius, wymieniając te egzotyczne koty, mieli na myśli krajowego rysia. Wszak ostatni wymienia także lwa, słonia, wielbłąda; czemuż nie miałby znać pantery i lamparta, zwiłaszcza, że ich skóry szły do kraju naszego dla husarzy? Nikt też nie uwierzy nawet panu R., aby rysia kiedykolwiek w Polsce nazywano *pardem* lub *leopardem*. Prędzej mogłoby być odwrotnie, przez upodobnienie rzeczy nieznanych do znanych. To już jest tłumaczenie wprost fałszywe. Tutaj uwiodła autora okoliczność, że u Murmeliusa znalazło się zestawienie: „*panthera—rys*.”

Zajrzymy teraz pod *Canis lupus* na str. 434. Synonim łaciński Bartłomieja z Bydgoszczy „*lupus 8290*”, oznaczający szczupaka, został umieszczony pod Wilkiem, choć stojąca przy nim polska glosa, „*szczuka*”, powinna od tak grubego błędu uchronić. Taki sam zresztą *lupus* z Murmeliusa (*szczuka 8664*), jest położony przecież, jak należało, pod *Szczupakiem*.

Ale jest rzecz jeszcze gorsza. „*Szczuczkę 10111*,” t. j. młodego szczupaka, pomieścił autor pod Wilkiem i to w osobnej rubryce, jako „*samicę wilka*”

Że nawet w odczytywaniu i przepisywaniu wyrazów, zawartych w rękopisach, nie zawsze można autorowi ufać, niech objaśni parę przykładów. Uderzył mię wyraz „*capia przedza*” (=koźła przedza), między nazwami Kianianki. Wiem, że takiej nazwy w żadnym języku niema. Skąd się wzięła w polszczyźnie? Otóż polega ona na mylnym przeczytaniu litery *n* jako *p*. W rękopisie bibl. Jag. Nr. 774 jest „*Canya przyadza*” 2033=*cuscuta 1380*.” Przez nieuwagę lub niekrytyczne odczytanie zrobiła się z „*cania przedza*” „*capia przedza*,” a przecież takie samo „*canya pradzda 2569* i *3490*” z dwóch innych rękopisów p. Rostańskiego odczytał właściwie: „*kania przedza*.”

Pod nr. 3373 widzimy w Materiałach „*sczyeheuki*”, które na str. 336 autor odczytuje jako „*szczygiełki*.” Tymczasem, według mego odczytania, w rękopisie najwyraźniej jest *sczyethenki*. Z uwagi na postać rośliny, oraz na inną nazwę: „*szczotarz*”, istniejącą dla *Centaurea cyanus*, którą sam p. R. pod N. 1067 zapisał, nie może być nawet sporu, że tu są—*szczetenki*, nie zaś jakieś nigdzie nie istniejące „*szczygiełki*.”

Tak samo wyraz „*Capinos*”, niezbyt wyraźny w rękopisie, autor przepisuje „*łapinosz*,” a z tego urabia nieistniejącą nazwę „*łapinos*” (str. 217 nr. 3323). Mogłyby od takiego błędu uchronić inne glosy tutaj, do *geranium*, należące, jak: „*czapy noss 424*,” „*czapynosz 7250*,” oraz „*czapye nossky 1177*.” Ale p. R. nie dostrzega ich poprawności, bo przepisuje „*capie*,” a przy „*czapie uoski 1177*” robi uwagę: „*Capie bez sensu, zapewne czaple, bo czapla ma długi dziób*” (str. 218). Otóż muszę wyznać, że „*czapie*” ma sens—i to dobry, tylko nie trzeba tu czytać „*capie*,” bo to wyraz zapożyczony z czeskiego, „*czap*” zaś po czesku znaczy „*bocian*,” który także ma długi dziób *).

Innych tego rodzaju omyłek nie przytaczam, aby nie rozszerzać nad miarę niniejszego sprawozdania. Przytym sprawdziłem dokładnie tylko drobną część dzieła.

Zresztą, do czego by to prowadziło?

*) Że jest tak, jak mówię, dowód w tym, iż Stanko (obfitujący w czeskie naleciałości) zapisał dla tej rośliny obie nazwy przy sobie: „*bocianie noski 421*,” obok „*czapi nos 424*.”

Gdzie się walczy z różnorodnymi trudnościami, coś dziwnego, że tu i owdzie baczność odmówi na chwilę posłuszeństwa? Wyznać jednak muszę, że zabierając się do przeglądania dzieła tak dojrzałego, nie spodziewałem się znaleźć w nim aż tyle i tak różnorodnych usterek, oraz stron słabych. Przykro mi nawet, że wypadło je wytknąć, ale obowiązkiem sprawozdawcy było zwrócić uwagę nie tylko na jasną, lecz i na odwrotną stronę cennego medalu, a to choćby ze względu na wielką doniosłość dzieła, którą sam autor mocno podkreślił. Nie winna to sprawozdawcy, że usterek znalazło się więcej, niż byćby mogło, niż zapowiedź autora pozwałała się spodziewać.

Sumując wszystko, największy muszę położyć nacisk na główną stronę ujemną dzieła, przy której wszystkie inne gasną: na układ w wysokim stopniu niedogodny dla użytkowników, układ, który z dzieła zrobił istną łamigłówkę.

Dla materiałów językowych jedyną, dogodną pod każdym względem postacią, jest słownik. Gdyby wyniki pracy były ujęte w ramy słownika, wtedy część systematyczna, na którą autor wielki położył nacisk, mogłaby być znacznie treściwsza, nie tracąc nic na swej wartości wewnętrznej, a zyskując wiele na jasności. Nie byłoby też wówczas ani zaznaczonych sprzeczności między tytułem a treścią, ani zapewnień, że dzieło jest tym, czym nie jest, ani wreszcie — niedogodności w korzystaniu z cennej, pomimo wszystko pracy p. Rostafińskiego. Zarys „flory, fauny i mineralogii“ wieków średnich, oparty na faktach, zgromadzonych w części głównej — słownikowej, ale pozbawiony już balastu cyfr, zajęłby nie więcej nad parę set stronic; pozostałe zaś miejsce łącznie z tomem 2-m (zbytecznym już) dałoby ze 600 stronic druku na słownik, a ten z pewnością nie zajęłby nawet tyle.

„Jest to pierwsza podobna praca na świecie“, pisze autor i ma zupełną słuszność. W interesie jednak nauki wypada wyrazić życzenie, aby, w podobnym układzie, pozostała jedyną.

Erazm Majewski.



3,00

Biblioteka im. Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie

A

	452797	t
---	--------	---

z. II.2000

1000811127

